ORGAN ZWIĄZKU KANIOWCZYKÓW I ŻELIGOWCZYKÓW

OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM
Warszawa, Sierpień 1936
Rok IV Nr. 8

GŁOS KANIOWCZYKÓW i ŻELIGOWCZYKÓW

TREŚĆ

Rocznica. — Pamiętniki: ks. Konopki, ppr. Binkowskiego, mjr. Ciechońskiego i rotm. Kołaczkowskiego. — Ubezpieczenia społeczne. — Komunikaty. — Kronika.

Rocznica - źródło otuchy i dumy

Lord D'Abernon, przedstawiciel Rządu Brytyjskiego w Misji angielsko-francuskiej, wysłanej do Warszawy w lipcu 1920 r., zanotował w swym pamiętniku:

„Paryż, 22 lipca 1920 r. Od chwili przybycia do Paryża, oprócz oficjalnych audjencyj, konferowaliśmy z licznemi osobami prywatnemi, uważanemi tutaj za kompetentne do rzucenia światła na istotę położenia, w jakim znajduje się Warszawa. Najwybitniejszą z pośród tych osób jest niewątpliwie Paderewski. Jeśli nasz pogląd na stan rzeczy w Warszawie był niejasny, to, po rozmowie z Paderewskim, stał on się jeszcze posępny. Paderewski doradzał Misji, aby pod żadnym pozorem nie ruszała w drogę bez konwoju aeroplanów. Zwykła przezorność wymagała, byśmy zaopatrzyli się w środki jak najłatwiejszej ucieczki w wypadku zdobycia Warszawy, co, jego zdaniem, nie ulegało wątpliwości".

„Praga, 24 lipca 1920 r. ... mogliśmy w ten sposób zasięgnąć opinji o położeniu Polski u najbardziej kompetentnych czynników sąsiadującego z nią państwa. Jeżeli Paderewski w ciemnych barwach widział rzeczywistość polską, to Prezydent czechosłowacki jeszcze mroczniej się na nią zapatrywał. Nietylko, że zdobycie Warszawy uważał za rzecz bezwzględnie pewną, lecz nawet ostrzegał nas, byśmy nie organizowali żadnej pomocy militarnej na korzyść Polaków, a to z dwóch względów: z punktu widzenia wojennego — pomoc taka będzie najzupełniej bezskuteczna, a może podkopać autorytet mocarstw zachodnich przy późniejszych pertraktacjach pokojowych. Polakom nic nie pomoże w ich beznadziejnem położeniu; nasze zaś ujmowanie się za nimi może się dla nas wielkim złem okazać".

Taka jest objektywna relacja o ówczesnych opinjach i nastrojach poza Krajem.

A w Kraju?

Były to dnie groźne, chwilami straszne — napięciem oczekiwania, piętrzących się rozstrzygnięć, dla nas bardzo ryzykownych z uwagi zarówno na nastroje w społeczeństwie, jak i ugrupowanie naszych bojowych sił.

Oto z 20 dywizyj, które miały wziąć udział w decydujących walkach o stolicę, prawie 15 musiało pozostać pod Warszawą, a zaledwie 5 i pół dywizji wzięło udział w uderzeniu. Tak małe siły na uderzenie bezpośrednie przeznaczyć mógł Naczelny Wódz dlatego przedewszystkiem, że „nad całą Warszawą wisiała zmora mędrkowania, bezsilności i rozumkowania tchórzów". Przeniesienie jakichkolwiek większych sił z pod Warszawy na front uderzenia nad Wieprz, wywołać mogła w tej właśnie Warszawie, opanowanej defetyzmem i paniką — nieobliczalne skutki.

Jeśli do tego dodamy niedające się wprost wyrównać braki i niedomagania w organizacji i ekwipunku grup, przeznaczonych na uderzenie — pojmiemy grozę sytuacji.

Józef Piłsudski tak o tem mówi w „Roku 1920": „Tak więc bataljony z bronią francuską trafiały do dywizyj uzbrojonych w mauzery niemieckie, lub manlichery austrjackie... Takich dziadów, jak ich nazywałem, dotąd w ciągu całej wojny nie widziałem. W 21-ej dywizji prawie połowa ludzi defilowała przedemną w Firleju boso".

Pomimo tego duch w wojsku był dobry i nawet po długotrwałem odwrocie czynił możliwym przełom, by nastawić się na zdolność zwyciężania.

Przełom ten nastąpił, gdy szeregów znękanych marszami i bitwami, zbiedzonych i zgłodzonych — dotknęły głębokie oczy Naczelnego Wodza — oczy pełne dumy i woli i gdy Jego ręce wskazały kierunek marszu i obowiązek triumfu.

I nastąpiła zmiana taka, że w nią, poprostu, niewierzono.

„Szybki, błyskawiczny przewrót sytuacji — pisze Józef Piłsudski — dokonany przezemnie tak nieznacznemi siłami, nie wydał się nikomu trwałym, gdy przedtem prawie półtora miesiąca cała nasza armja na północy i na południu z nieprzyjacielem rady sobie dać nie mogła".

Ten piorunujący przełom, dokonany w ciągu paru zaledwie dni, przełom tak potężny, że, z pobitych, uczynił nas triumfatorów — musiał być wynikiem żywiołu. Nie kalkulacji, nie rozumowania, nie orjentacji — lecz właśnie żywiołu.

A obca, więc surowa, ocena tego zwycięstwa?

Powróćmy jeszcze do angielskiego pamiętnikarza: „Współczesna historja cywilizacji zna mało wydarzeń, posiadających znaczenie większe od bitwy pod Warszawą w r. 1920. Gdyby ta bitwa zakończyła się zwycięstwem bolszewickiem, nastąpiłby punkt zwrotny w dziejach Europy, nie ulega bowiem wątpliwości, że, z upadkiem Warszawy, środkowa Europa stanęłaby otworem dla propagandy komunistycznej i dla sowieckiej inwazji".

„W wielu sytuacjach historycznych była Polska przedmurzem przeciw inwazji azjatyckiej. W żadnym atoli momencie zasługi, położone przez Polskę, nie były większe; w żadnym — niebezpieczeństwo nie było groźniejsze".

Zwycięstwo to „.... osiągnięte zostało przedewszystkiem dzięki strategicznemu genjuszowi Jednego Człowieka i dzięki przeprowadzeniu przez Niego akcji tak niebezpiecznej, że wymagała ona nietylko talentu, ale i bohaterstwa".

* *
*

Genjusz Jednego Człowieka wyzwolił w nas Żywioł i zwyciężyliśmy wbrew kalkulacjom i trzeźwym rozumowaniom — bosi, źle uzbrojeni i bez wszelkiego zaopatrzenia, ratując swój Kraj od ciężkiej niewoli, a Europę od ciężkiego kataklizmu.

Jest coś potężnego, co idzie na Naród z tego zwycięstwa.

Jest jakaś ukryta w nim moc, jak w pięknym gotyku średniowiecznej katedry, co dumnie trwa wieki.

Jest coś niepojętego, jak w hymnie „Święty Boże", co wzrusza serca, nawet niewierzących.

Naród przez nie poznał swą siłę i drzemiące, bezgranicznej możliwości.

Armja odnalazła trwałą nić wielkiej, hetmańskiej tradycji.

Obywatel utrwalił swą wiedzę, że, tak jak nietylko samym chlebem człowiek żyje — tak nietylko materjalne zaopatrzenie decyduje w wojnie.

A wszyscy, Naród, Armja i Obywatele — poczęli w tym zwycięstwie swą nową formę bytu z genjuszu Jednego Człowieka, co nietylko był źródłem talentu, lecz i bohaterstwa; nietylko tego, co pozwala nawet ginąć w walce — lecz tego, co myśląc, czując i działając za miljony — odważa się przyjąć na siebie brzemię decyzji i trud jej realizacji.

m. k.

Naszych prenumeratorów prosimy uprzejmie o wpłacanie należności za pismo wyłącznie na konto Zarządu Głównego Nr. 17544 w P.K.O.

Wobec słabego ostatnio wpływu prenumeraty zmuszeni jesteśmy uprzedzić Kolegów, że, poczynając od numeru październikowego, przerwiemy wysyłkę pisma tym, którzy będą zalegać z prenumeratą.

KU UWADZE NASZYCH CZYTELNIKÓW

Otrzymaliśmy do druku niezmiernie ciekawy pamiętnik księdza K. Konopki, kapelana II brygady i II korpusu.

Pisany bezpośrednio podczas akcji, o której relacjonuje — pamiętnik ten jest niezmiernie wartościowym przyczynkiem historycznym do dziejów wymienionych formacyj.

Druk pamiętnika rozpoczęliśmy w poprzednim numerze „Głosu", i numer ten nowym prenumeratorom pisma będziemy wysyłać w cenie normalnej prenumeraty.

KSIĄDZ KAZIMIERZ KONOPKA-NOWINA

Pamiętnik kapelana

II Brygady i II Korpusu

(Dalszy ciąg)

Poszedłem zaraz do komendanta I Baonu, Sieramta i mówię mu o tem. Podszedł on do majora i za chwilę widzę, że idzie nasza patrol ku madziarom: ale ci tymczasem zniknęli w ciemnościach. Nasi nie dali za wygranę — poszli za Madziarami, i za pół godziny nasza patrol wraca i melduje, że istotnie, madziarska konna patrol miała nas obserwować, którędy idziemy, że to była patrol oficerska, że wszyscy uciekli do Czerniowiec, krom jednego, którego razem z koniem chwycili i przyprowadzili, jako jeńca.

„Czy nie miałem racji?" — mówią do doktora. „Cieszą się wszyscy z jeńca i z konia, ale będzie z nami teraz gorzej" — myślę. Schowałem jednak tę refleksję dla siebie; poco psuć innym humory, które i tak zaczęły nieco poważnieć.

Na końcu Sadogóry była centrala jakaś telefoniczna: widzimy, jak z tego domku podchodzi jakiś wojskowy, oświeca drogę lampką elektryczną i patrzy:

„Was ist das?".

Na to jakiś oficer z naszych podbiega, błysnął jemu w oczy też lampką tak, że austrjak już teraz niczego nie mógł widzieć. Zawraca więc do chaty, ale żeby go przypadkiem nie wzięła chęć telefonować do Czerniowiec, więc zaraz telefoniści nasi zarzucają na słupy sznury... dziń, dziń... dźwięczą druty telefoniczne poobcinane.

Według planu mieli się w Sadogórze z nami połączyć artylerzyści, ale dotąd ich nie było, wobec tego stajemy za miastem odpoczywając jakie pól godziny i wysyłamy patrole na tyły: ale patrol żadna nie wraca; wysłano nawet konno jednego, potem drugiego oficera — ale ci nie wrócili. Nie wiedzieliśmy podówczas, że artylerja zdradzona, jak tylko wyjechała z Walawy, przed Sadogórą jeszcze, spotkała się z patrolą austrjacką: oświadczyli im poprostu austrjacy, że jesteście otoczeni, dokoła stoją karabiny maszynowe, i... nasi artylerzyści musieli się poddać. Zawód to był dla austrjaków wielki, bo nasza arylerja była tak wzorową, że nawet założyli przy naszym dywizjonie szkołę artylerji dla austrjackich żołnierzy.

I ta szkoła zdradziła ich!

Biedna Austrja!?!

My tymczasem nie wiedzieliśmy, że z drugiej strony Sadogóry, na drodze wiodącej ku Walawie, zaczaili się madziarzy. Skoro nadjechał nasz konny czy pieszy patrol i każdy z nich — czytał na drogowskazie stojącym przy drodze, dokąd droga prowadzi, wyskakiwało z ciemności kilku żołnierzy i w największej cichości brali pod ręce biednego leguna W ten sposób, o tem dowiedziałem się po roku 1920 od jednego z tych właśnie patrolowców, zginęły nasze patrole, a my, oczekując w niepewności, nie mając żadnych wiadomości, ani o artylerji ani o patrolach naszych, coraz poważniej się nastrajamy, nikt nie rozmawia, chyba półgłosem, ale każdy boi się mówić, by przypadkiem słowo jedno nie odebrało innym otuchy, a wiemy, że każdemu na myśli lęk, co się stanie, czujemy, że lada chwila padnie strzał i poleje się krew. Ale o tem nie chce się mówić i myśleć — by bodaj myśl tę odsunąć jaknajdalej...

Nie możemy się doczekać artylerji — więc dalej idziemy. Na wszelki wypadek zostawiliśmy łącznika tylko. Koło wsi Mahala skręcamy na północ do Rarańczy. W tem słyszę w wąwozie, jaki się ciągnął po północnej stronie szosy, przytłumiony strzał, jak gdyby gdzieś, z głębi ziemi wychodził.

Kilkadziesiąt kroków dalej, nasi napotkali żołnierza, który przekonany, że ma do czynienia ze swoimi, oddał naszemu oficerowi depeszę telefoniczną tej treści:

„Starke polnische Kräfte passierem die chausse Sadogóra - Rarańcza“.

Widać też, że cięcie drutów nie wiele pomogło, gdy polowe telefony pełniły służbę nienagannie.

Nazajutrz w okopach, opowiadał też jeden oficer austrjacki, że miał w nocy telefon tej treści:

„Starke polnische Kräfte... i urwano resztę depeszy — aparat milczał, pewnie już drut był przecięty, bo nie mógł się dodzwonić o dokończenie depeszy.

Ledwo stanęliśmy na górze, między cota 260—243, koło zburzonego folwarku, gdy nagle usłyszeliśmy strzał rewolwerowy, potem natychmiast dwa strzały, i na to hasło gruchnęły salwy karabinowe; drogę naszą przecięła nam linja ognia, błyskającego co chwila wśród ciemności salwami, a nad głowami poczęły gwizdać gęste kule — niby stado szpaków, szybujące w powietrzu.

Poznaliśmy co to znaczy; linja tyraljerska piechoty przecięła nam drogę i otwarła na nas regularny ogień karabinowy... a my maszerujemy zwartą kolumną!...

Zakotłowało w naszym pułku — wtem słyszę głos majora Zająca:

„Kapitan Sieramt, kapitan Sieramt, proszę prowadzić 1-szy bataljon. Drugi bataljon — kapitan Szczepan“! — I widzę jak major biega gorączkowo i woła.

Lekarz pułkowy, który cały czas szedł koło mnie, woła do mnie pocichu z rowu:

„Księżę! do rowu! do cholery, oni nas tu wszystkich na drodze wystrzelają!“.

Żołnierze automatycznie ustępują z drogi do rowów, po obu stronach drogi, a ja wśród tego zgiełku słyszę spokojny głos kapitana Sieramta: „I-sza kompanja — w prawo tyraljera; II-ga kompanja — w lewo tyraljera — marsz“ — i widzę w pomroce, jak te chłopcy, niby na placu ćwiczeń, rozbiegają się w tyraljerę, z karabinem w ręku, podbiegają naprzód, pochyleni na niewidzianego wroga, który co chwila błyskał ogniem i zasypywał nas kulami. W tejże prawie chwili odezwały się i nasze maszynowe kaarbiny; ale nie upłynęło i dziesięciu minut, a ucichły strzały karabinów i grzechoty kulomiotów... widzimy tylko, jak nasi chłopcy prowadzą na nasze tyły jeńców austrjackich. Wobec tego uważamy, że trzeba iść naprzód; każe się tym „jeńcom“ tylko rzucić karabin i puszcza się ich wolno na tyły.

Wtem słyszę jakieś jęki z boku — to nasz chłopiec ranny w nogę:

„Pić mi się chce, krew ucieka“!

„Nie masz bandażu“?...

„Nie“ — zawołałem sanitarjusza, aby mu ranę zawiązał.

Dalej patrzę — leży w rowie ranny, ciężko dycha, zdaje się nawet nieprzytomny: dałem mu absolucję, bo i czemże jeszcze mógłbym mu pomóc? O parę kroków dalej leży na środku drogi młody oficer austrjacki, blondyn, w skroni rana, aż żal tak młodego człowieka — klęknąłem nad nim — serce już nie biło, ale był jeszcze ciepły— więc dałem mu absolucję „sub conditione“ — ale trudno się dłużej zatrzymywać, Austrjacy za dnia zajmą się umarłym, i tylko dla porządku przeglądnąłem jego legitymację i zapamiętałem nazwisko — podchorąży Kadtec Venzel. Jakiś legun chciał zdjąć z niego rewolwer i naboje, ale popatrzył na mnie, rozmyślił się, i zostawił.

Idę dalej.

Stoi grupka naszych oficerów.

„Co to takiego“? — pytam ich.

„Idę ze szpicą“ — mówi major Orlik-Łukowski z 2 p. p. — a wtem patrzę jak te Austrjaki błażeństwa robią: na środku drogi stoi jakiś oficer, przed nim 2 żołnierzy, karabiny złożyli na krzyż.

„Wer da“? — woła oficer jak na komedji.

„Polnische Legionäre“ — odpowiadam.

„Den polnischen Legionären ist der weitere Weg verboten“!

Ja mu na to: „Wir werden sie nicht um Erlaubniss bitten — gehen sie weg, denn sont machen wir uns selbst der Weg“!

Na to oficer austrjacki wyciąga rewolwer i strzela.

Nie wiem czy strzelał w powietrze, czy we mnie, czy źle mierzył, bo ciemno; nawet się nie przedstawił, jak się należało po wojskowemu. Wtedy ja —trzymałem już rewolwer w garści, przedstawiam mu się: major Łukowski — i buch w łeb jednemu, buch drugiemu. Padli.

Boruta Spiechowicz, który szedł obok, ponoć też strzalał, ale bez przedstawienia się już.

No, ale teraz nie możemy iść przez wieś. Teraz wszystko zaalarmowane. Ot proszę! Tu wskazał ręką przed siebie. Ruch gorączkowy. To 53 p. p. austrjacki w Rarańczy zbierał się na alarm.

Istotnie widać było w niebardzo odległej wsi, może i kilometr niecały, od szkoły, biegania ze światłem, jakieś nawoływania... Nawet na drugim końcu wsi, ku Toporowcom, pokazały się światła.

Tymczasem nadbiega z boku jakiś legun.

„Panie poruczniku! Rany Boskie! Tam leży 60 jańciów (tak przezywano u nas Austrjaków; Cze-

chów „pepikami") na froncie; niech pan porucznik da 2 ludzi, to ich wezmę w niewolę".

„Skąd ja ci do cholery wezmę 2 ludzi"!

„No to przynajmniej jednego — Rany Boskie — tam ich tylu".

„Ale nie mam ani jednego człowieka".

Odszedł strapiony legun, że mu się taka gratka nie udaje...

„To już sam po nich pójdę" — i poszedł, jeden na 60!!!

Odkryli nas, więc pułkownicy naradzają się co zrobić. Przez wieś, jak pierwotnie był plan, iść nie można, bo nie sforsujemy wsi. Widać Austrjacy są na wszystko przygotowani. Nadjechały nasze treny i żołnierze ze szturmówki, którzy pół dnia, jak wrócili ze szkoły szturmowej w Dobrowońtz i Oberszerantz, powiadają, że tutaj znaleźli swoich austrjackich kolegów: widać, że i całą szkołę szturmową w Dobrowońtz przeciwko nam ruszyli. Trzeba więc iść polami, tam gdzie nas Austrjacy nie mogą się spodziewać.

Nadjechał też oficer z korpusu, por. Malinowski, i mówi, że gen. Zieliński już jest w Mahali, w chacie czeka, skoro będzie meldunek, że przejście jest wolne, to siada na koń i pojedzie.

Wobec tego idziemy. Pułki mają zająć linję — rozejść się w okopach na flanki, i trzymać je póty, póki całe tereny nie przejdą. Ale łatwo mówić! Jak tu wykonać taki plan, gdy my po 6 godzinnym marszu już, a każdy żołnierz obładowany, bo i porcje rezerwowe chleba i konserwy nieść musi i 180 naboi ostrych i 8 granatów ręcznych, a prawie każdy ma jeszcze buty drugie, czy bielizny nowej nieco, jak „fasowali" na samem odchodnem, już na szosie w Mamajowcach. Było więc ciężko żołnierzom — ale i strach pewien i odpowiedzialność jakaś, za jakieś wielkie dzieło, jakiego dokonywaliśmy, dodawała odwagi, ale też i denerwowała. Najwięcej zaś drażniła niepewność — co będzie?

Baliśmy się, by nas nie odkryto — naiwnie — gdy głos bitwy musiał być słyszanym, chyba i meldunki o tem pewnie już były w Czerniowcach. Ale pamiętam, jak — naprzykład — rzucali żołnierze nową bieliznę, jaką mieli przytłoczoną do plecaków.

„Co mi tam, prawda, że szkoda, ale to białe, mogą zobaczyć"... bo od Bojan reflektor szuka nas po polu, a co chwila od frontu podnoszą się rakiety do góry! Za każdym razem człowiek pada na ziemię — bo nuż za światłem rakiety biegnie oko maszynowego karabinu! Ale to jeszcze nic pókiśmy byli za górą, od strony wsi Rarańczy, lecz gdyśmy weszli na równe pole, między dawnemi pozycjami austrjackiemi i rosyjskiemi, wtedy dopiero zoczęła się dla nas prawdziwa Kalwarja. Całe pole, dawne międzypole austrjacko - rosyjskie — pokopane rowami i poorane granatami. Rakieta oślepia nas tak, że gdy zgaśnie przez 2 — 3 minuty absolutnie niczego nie widać. Ale z tych paru minut trzeba skorzystać, aby ujść nieco drogi, bo za chwilkę znów inna rakieta się podniesie. Więc idziemy, ale ledwie zrobię krok, dwa, nagle albo się plącze noga w drucie kolczastym, jaki porozpinano oddawna na ziemi, albo też noga moja napotyka na jakiś dół, i lecę w dół głęboki na metr czy półtora. Wyciągam do góry ręce i gramolę się z rowu do góry, poto, by, zrobiwszy znów 3 czy 4 kroki, wpaść w inny dół. To znowu widzę, że obok mnie żołnierz wpadł, ja sam wydrapawszy się podaję mu ręce, bo jemu ciężej; ma on karabin, to prawda, że na nim się oprzeć może, ale ma i tornister ciężko naładowany, i rynsztunek cały. Tak maszerujemy, raczej wpadamy z rowu w rów, czasem pełen tylko przymarzniętego błota na spodzie, od godziny 1 do 3 w nocy, robiąc może wszystkiego ćwierć kilometra. Zmęczeni strasznie, więc niech się dzieje co chce, dalej już iść nie można. Nie mamy sił... I tak porozłaziliśmy się po całem polu... W najbliższem mem otoczeniu było może do 100 żołnierzy i 3 oficerów 3 bataljonu 3 p. p. Łączność na prawo? na lewo? — żadna. Bo jak tu utrzymać łączność w takim terenie, w takich warunkach!

„Tak dalej iść nie możemy — mówię — żadnej łączności, człowiek zmordowany, połóżmy się, doczekajmy dnia, i co będzie, zobaczymy dokąd iść. Tak po omacku nigdzie nie zajdziemy".

Moje słowa trafiły do przekonania każdemu. Żołnierze z tornistrem ciężkim i karabinem, byli naprawdę strasznie pomęczeni. Więc wszystko kładzie się na zmarzniętą ziemię i śpi. Nikt nie myślał, że może dostać kataru, lub się przeziębić i zachorować. Gdzie tam! Mróz kilkanaście stopni — bagatela! O pierwszym brzasku — była 5.30

Pismo związkowe jest łącznikiem między członkami wzajem między sobą. Jest ponadto jedyną dzisiaj zbiornicą przyczynków historycznych do naszych bojowych dziejów.

Komu droga jest ta więź i kto ceni sobie swą bojową przeszłość — ten nie pozwoli, aby pismo, które w dziale wydatków ma wyłącznie pozycję: druk, papier i porto — borykało się z trudnościami pieniężnemi i natychmiast opłaci swoją 50-cio groszową miesięczną należność.

wstaję. Wołałem na innych. Rzeźko powstawali wszyscy, sen każdego pokrzepił.

Kpt. Jakubowski, ppor. Prosołowicz i ja, idziemy. W półcieniu pochodzą inni. Nie upłynęło pół godziny, a jesteśmy przy drutach. W płocie drucianym wycięta brama; widzę, że wielu żołnierzy już przeszło druty i tu i wyżej nieco na północ odemnie; więc sam przeskakuję rów i za druty.

Dziwne wrażenie mnie ogarnęło; jakbym skoczył do grobu — jakbym zerwał z całym już światem dotychczasowym...

Patrzę dookoła, i dopiero teraz zastanawiam się nad tem czy nam się udało to przejście? Okiem obejmowałem okopy frontowe, na przestrzeni kilku kilometrów i oto widzę — tu grupka — tam grupka przeszła — koło mnie już kilkudziesięciu przeszło — raz wraz słychać huk armat — tu, tam szrapnele biją ,tam gdzie nasze treny. A nasza artylerja? Niema jej. Pewnie została. W tem jak się nie odezwą maszynowe karabiny! — gdy kilkunastu dobrych młockarzy zbierze się na boisku, niema takiego klekotu jak tutaj.

Podchodzę — już za drutami — dalej, może kilkaset kroków tylko. Stoi tu Haller i grupka ludzi - oficerów i żołnierzy. Oglądamy się — „To nas tu tylko tyle“ — —odezwał się ktoś...

I głos zawisł gdzieś w powietrzu...

„Czy wszyscy przeszli?“ — pyta brygadjer.

Wtem ozwał się maszynowy karabin akurat z naszej flanki, gdzieś w górze i począł siec wzdłuż drutów kolczastych, w tę bramę jakeśmy tylko co przeszli. Wobec tego brygadjer zwraca się do kapitana Jakubowskiego: „Trzeba wrócić z maszynowym karabinem i obsadzić rów, tamtych zmusić do milczenia, bo inaczej nikt nie przejdzie“.

Stał tam kpt. Jakubowski i obsada maszynowego karabinu.

„Rozkaz“ — a do mnie odzywa się kapitan“ — „może ksiądz pójdzie z nami“. Wracamy tedy do przejścia w drutach kolczastych. Maszynka austrjacka bije akurat w tę bramę w jaką chcemy wejść. Nasza grupka odrazu pada na ziemię — nikt nie śmie podsunąć się dalej. Kilka kul świsnęło mi koło ucha — jeszcze raz rzuciłem okiem na swoich, wspomniałem czem były legjony, ile ich było, a tu? Tak mi się żal zrobiło — oto garstka przeszła — wszystko zginęło bezpowrotnie — i ci co tu stoją przy drutach bezpowrotnie zginą... nie przejdą...

Poco mi żyć dalej? Niech i ja zginę przy swoich — więc choć karabin maszynowy bije we mnie, stoję... czekam na śmierć...

Ale w tej chwili szarpnął mnie ktoś za płaszcz... „Niech się ksiądz położy, bo trafią“.

Patrzę na lewo, a to ppor. Karpiński ze sztabu Brygady leży spłaszczony i ciągnie mnie za połę płaszcza.

„Ech, to tam“... mówię, alem się położył obok niego.

Patrzę a tu na prawo i to o kilka kroków tylko leży kpt. Jakubowski i za nim obsada naszego karabinu. Za drutami po stronie austrjackiej jeszcze kupka jakaś naszych, co też nie odważają się przejść ponieważ słyszą trzask maszynki austrjackiej.

Trzeba im pomóc — czyli przebić tę bramkę w drutach kolczastych i Austrjakom strzelić w maszynki.

„Chłopcy chodźcie! Pomóc naszym!“ — woła kapitan do żołnierzy.

Ale nikt się nie rusza. Każdy wie przecież czem to pachnie.

Księże — zwraca się do mnie kapitan — niech ksiądz pójdzie, chłopcy pójdą za księdzem — mówi do mnie Jakubowski.

„To rzecz kapitana“ — mówię.

„Ale za księdzem to pójdą“ — odpowiada mi kapitan.

„Ano chłopcy chodźmy! Trzeba ratować kolegów!“

Podnoszę się, wstaję i sam podchodzę do bramy w drutach, choć kulki gęsto latają. I teraz jaknajlepszy cel ze mnie!

„Moment — —myślę i modlę się — o Boże, abym żył jeszcze, bo jak padnę to się chłopcy nie poderwą“.

Tymczasem Austrjaki strzelają z maszynki swej, kule lecą tuż tuż po lewej stronie świstając nieprzyjemnie...

„Psiakrew — choć z księdzem“ — odezwał się jakiś legun bliżej mnie leżący. Porwali się z kapitanem i wpakowali maszynkę swoją w okopach austrjackich. Już Jakubowski szkłami obserwuje pozycje, a Austrjaki tymczasem całkiem zgłupieli — podnoszą celownik, już koło uszu — już nad głową, wreszcie przestali całkiem strzelać...

Zamiast ruszyć w bok, podnosili ogień dobry — zdawało im się, że zakrótko strzelają, skoro ja wciąż stałem mimo ich ognia...

Nie wiadomo...

Korzystając z przerwy w ogniu, kilkunastu chłopców przeszło jeszcze druty. Nikogo już nie widzę, więc mówię kapitanowi:

„Niema co, chodźmy — bo już wszyscy przeszli“.

„Wszyscy?“.

„Nikogo nie widzę“ — i powróciliśmy wszyscy na rosyjską stronę. Później żal mi było, żem się

tak mieszał w nieswoje rzeczy. Później ten sam, a może i inny kulomiot austrjacki, który mogliśmy ostrzeliwać skutecznie, zaczął ogień na nasz teren, i zastrzelił nam wszystkie konie. Ale żal po niewczasie i któż mógł to wiedzieć co się tam dzieje? Trenami opiekować się miała kompanja szturmowa — nie my.

Teraz idziemy małemi grupkami ku pozycjom rosyjskim. Ale skorośmy tylko z poza pagórka wyszli, znowu zaczęła nas witać, ale już artylerja austrjacka. Biła salwami, to przed nas, to za nas: widać dystansu nie miała jeszcze — idziemy jednak w rozsypkę, nuż teraz i moskale strzelać zaczną. — ostrożność nie zawadzi, bo zaczynają się chaty w Rokitnie. Nagle słyszymy salwę—granaty—czujemy, że już mają dystans i że to już w nas biją — więc automatycznie rzucamy się na ziemię. Przedemną w lewo i w prawo padają chłopcy na ziemię; ledwieśmy padli, a tu eksplodują 4 granaty, równo, w jednej linji, widać półbaterja strzelała. Wstaję i oglądam się w lewo i w prawo — wszyscy wstają — nie, na prawo jeden chłopiec leży jeszcze, granat pękł mu pod samą głową, z której ani śladu nie zostało... tylko oderwana szyja krwawi...

Zmówiłem pacierz za jego duszę... ale nawet nie poszedłem, bo i nie było poco...

Podchodzimy pod okopy rosyjskie. Mówili nam przed chwilą chłopi, że niema tam nikogo. Ale a nuż.

Więc każdy z nas automatycznie się patrzy, czy może liczyć na pomoc towarzysza z boku — idziemy.

Co za radość. „Szpica“ z daleka krzyczy: „okopy puste“.

Już nie dbamy o to, że austryjaki puszczają za nami granaty — widać, że nie mają dystansu, więc spokojnie idziemy w okopy.

Haller wydaje rozkaz, żeby pułk 2-gi szedł do Dynowiec, a 3-ci do Szyłowiec. Będzie to kilkanaście kilometrów marszu, ale trzeba, bo austryjacy gotowi nas ścigać. Istotnie huk armat nie ustawał prawie do wieczora.

Co tam się musiało dziać z naszymi kolegami pod frontem.

We wsi szukam jakieś kwatery.

Doktór narazie z oficerami osiadł w jakieś chacie, ja idę dalej.

Wszystko nędzne, brudne, lub zajęte już przez naszych żołnierzy.

Wreszcie znalazłem na uboczu chatę sołtysa. Połowa jedna to komora, pełno w niej kożuchów nowych, ale zimno tam bez pieca. Druga część pełna bab, dzieci i... brudu.

Ale gospodarza niema poszedł „do wołosti“, więc baba boi się mnie wpuścić do komory, a właściwie ja bez gospodarza nie chcę zajmować kwatery, więc siadam i czekam — nie chcę, aby mi tymczasem kto inny zajął kwaterę.

Była 12-ta w południe. Od 7-ej wieczór byłem w marszu, nic nie miałem w ustach. Gospodyni widząc, że zaraz zaczynam spać „na siedząco“ proponuje mi położyć się na łóżku — jedynem w tej izbie. Brudne było — wstrętne— ale wydało mi się teraz szczytem ideałów, więc gruchnąłem się na łóżko i zasnąłem twardo. Około 4-ej godziny obudziłem się.

Gospodyni zaraz dała mi miskę mamałygi i drugą mleka. Jak to zjadłem — nie wiem, alem zjadł.

Baby obserwowały mnie, czy się modlę przed jedzeniem, jak jem.

Pytam czy „chaziain doma?“

„Już wrócił z wołosti“.

Za chwilę przychodzi wysoki, silny chłop, aż dziwno, że nie w wojsku. Patrzy trochę milczkiem, ale bez trudności żadnych — godzi się na zajęcie komory; więc ja zostawiam na znak „primi okupantis“ swoją torebkę, a idę szukać doktora. Opatrywał chorych żołnierzy, chociaż sam śmiertelnie zmęczony. Zaimponował mi! To lekarz wojskowy!

Ściągam go — w komorze, chociaż zimno, ale gotujemy sobie wspaniałe spanie na kożuchach. Kożuchami też przykrywamy się i po wspólnie odmówionym pacierzu — idziemy spać.

Zapowiedziano nam, w rozkazie wieczornym, że trąbką dadzą sygnał na zbiórkę. Rano o 6-tej trąbka.

Wstajemy, umyliśmy się — pacierz — potem kobieta nieproszona nam ugotowała w garnku herbaty, kilka jaj, pożywił się przy nas jeszcze jakiś żołnierz co spał w izbie.

Pytam chłopa o nowości — mówi, że trochę naszych jeszcze przyszło w nocy ale jak widać, że on się zupełnie nie orjentował w tem, co to my za

---

Czy jesteś zadowolony z „Głosu”?

Czy pamiętasz o tem, że pismo kosztuje i że ten koszt pokrywa również i twoja prenumerata?

Czy już ją opłaciłeś?

wojsko. Austrjacy i tyle... Dziwił się gdy mu chciałem płacić, ale ostatecznie wziął 20 koron, bo drobnych nie miałem.

Trąbka powtórna o $6^{1/2}$, zbiórka koło spalonej cerkwi i marsz; w drodze mamy się spotkać z 2 pułkiem.

Po jakiej $^{1}/_{2}$ godzinie marszu, co za radość! Widać kilkanaście naszych koni i ludzi, jacy się ku nam zbliżają; stanęliśmy; witania, a pytaniom końca niema.

— „My melderajtry“ — odpowiada melderejter brygady — zostali jak był rozkaz i czekamy. A tu robi się dzień — wszystko poszło, nikogo niema, tak my na konie i jazda na front — bo my przecie drogę znamy, tyle razy się jeździło z meldunkami. Przez rowy, to konie poskakały i poszlimy. Tylko my nie wiedzieli gdzie pułk stoi, to nam chłopy ze wsi, gdzie my nocowali, pedzieli, że „Austrjacy“ tu poszli. Ale my to wiedzieli, że to nasze.

A koń pana brygadjera, to jakoś źle skoczył i wpadł do okopów, tak nadszedł oficer austrjacki i powiada, że koń pana brygadjera, że on go zna, i zawołał żołnierzy, to go wynieśli z okopu, ja im podziękował i pojechał“.

— „Parzonka, a gdzie twoje konie“ — pytam młodego górala, który miał śliczne konie — szpaka i karego, przy sztabie I-go baonu. Typowy góral, wierny, a zawzięty — konie kochał, jak ojciec dzieci własne. To była jego duma.

— „Prose ksiendza, a zal mi moich śkapów. Nie wiem po co my tam stojali i stojali. Zeby tak pojechał ciek, to by i dawno pojechał. A tu jak się zrobił dzień, jako zaceno na nas bić z masyngwer, po budzie, po koniach, tak widzę, że już koniec. Odpsengłem konie, wysypał im worek owsa, niech se do końca uzyjom, a sam posed hań. Skoda śkapów. Zmarnowało się to tak...“ i zaczął obcierać łzawe oczy rękawem.

Przybyło i trochę oficerów, i ludzi i przez kilka dni wciąż przychodzili. Od nich dowiedzieliśmy się też o przebiegu dalszym bitwy po austrjackiej stronie frontu.

Aż do rana stały nasze treny na przestrzeni kilku kilometrów, we wsi Rarańcza i przed wsią. Nie wiedziano dokąd jechać, czekano na wskazówki, których nikt nie dawał.

Linjowe wojsko przechodziło samo przez front, nikomu nie chciało się wracać do trenów, bo zresztą, drogą tą jakąśmy szli, treny jechać nie mogły; rów za rowem, dziura za dziurą. Gdy wreszcie zaczęło świtać, kapitan Przepiliński (komendant trenu i oficer prowiantowy) zmiarkował, że artylerja austrjacka zaczyna bić na tren, więc kompanja szturmowa poszła do ataku; zdobyła armaty i chciała je zdemontować. Ale zasłonili je, bo komendant ich, Polak, dał słowo honoru, że więcej do legionistów strzelać nie będzie. I nie strzelał — wyręczyła go w tem inna baterja, i karabiny maszynowe, które zaczęły siec nasze treny. Wtedy kpt. Przepiliński, widząc, że treny przepadły, zebrał żołnierzy z trenu i chciał z nimi przedrzeć się drogą na Toporowce. Uszli już sporo, ale po paru godzinach nadjechała drogą pancerka, tak, że żołnierze musieli się schować, paść na ziemię, a tymczasem nadbiegły masy całe konnicy, — auta, otoczyli naszych legunów, i zabrali w niewolę.

Szpitale i treny dywizyjne zabrali jeszcze w nocy, gdy stały na szosie za Sadogórą.

Dowiedzieliśmy się, że gen. Zieliński właściwie do ostatniej chwili nic nie wiedział, chociaż się może domyślał o przejściu.

Po kolacji w sztabie, 4 oficerów (między nimi kpt. Górecki, por. Malinowski) poprosili go do auta. Wzbraniał się — widać przysięga austrjacka krępowała jego sumienie. Ale gdy mu oświadczono, żeby był spokojnym, bo aresztują go, i to dlatego właśnie, aby był spokojnym, pozwolił się przewieźć do Mahali. Tu w chacie czekał z kpt. Góreckim na wiadomości — tymczasem przyszli Austrjacy i wzięli ich.

Nasi odrazu wzięli na siebie wszelkę winę, tak aby kochanego „Dziadka“ nie narazić na żadne przykrości. Dowiedzieliśmy się i paru innych jeszcze ciekawych szczegółów a oryginalnych — pod względem wojskowym. Np. gdy pierwszy jakiś legionista przyszedł do drutów kolczastych, przy przejściu, t. j. gdzie było w drutach kolczastych przejście, stał posterunek austrjacki, i widzą legionistę pokazuje palcem drogę: „hier!“ i zaraz sam wraca do ziemianki. Widziałem ja tę scenę nieco zdaleka, źdźiwiłem się, co to znaczy, że posterunek schodzi do ziemianki, i tylko słów tych nie słyszałem.

Opowiadali też nasi chłopcy, że gdy przyśli do okopów pierwszych i zauważyli, że w ziemiankach kurzy się z kominów, zaraz jeden, drugi wpadł do ziemianek. Tam Czesi gotowali sobie kawę. Zaraz naturalnie „kamrat“ dał kawy, napili się chłopcy, jeszcze papierosa sobie od Austrjaków zapalili i gębę relutońską utarłszy, podziękowali za kawę — i dalej w drogę.

W Czerniowcach 13 p. p. zrobił awanturę — ale bez przygotowania należytego tak, że otoczono ich i rozbrojono — i przejść do nas nie mogli. A więc i patrol nasza, która nad Prutem nadarmo oczekiwała ich, z wysadzeniem mostu i została wzięta do niewoli.

Gen. Schylling, nasz opiekun austrjacki, skoro się dowiedział o naszym wymarszu, natychmiast

siadł w auto i ruszył do Łużan: w drodze zatrzymali go nasi na moście.

X. Panaś, jako najstarszy podówczas na tem miejscu kazał aresztować go razem z drugim jakimś, bardzo wybitnym oficerem sztabowym.

Gen. Schyllinga najwięcej obraziło to, że jakiś legun, gdy Schylling chciał do żołnierzy przemawiać, rzekł:

— „Ale, niech się ta stara małpa wygada".

Dowiedzieliśmy się później, że w całej tej awanturze miało zginąć 30 naszych a 900 austrjaków.

Groby naszych są osobno w Rarańczy, gdzieś koło nowej murowanej cerkwi, austrjackie na cmentarzu vis à vis cerkwi.

Nadto i w Czerniowcach na cmentarzu niemało grobów naszych polskich legionistów, z napisem: „gefallen im Kampfe 15/II 1918".

Stojąc tedy ze Szyłowcami, niedaleko traktu do Chocimia, robimy przegląd naszych. Rachuje brygadjer: razem z drugim pułkiem, jaki nadszedł z Dymnik, wszystkiego razem 1800 ludzi! Prawda, że to pierwszej klasy żołnierz, bo tylko żołnierz linjowy: treny, kancelarja i wszystkie „obijaki" zostali. Ale niema wozów, niema prowiantów, niema amunicji, prócz tej, co żołnierz ma przy sobie, niema pieniędzy! Nawet kulomioty nosić muszą żołnierze ze sobą. Oficerowie o ile mieli przy sobie rządowe pieniądze, złożyli je; było tego 8000 koron; postanowiono każdemu żołnierzowi wypłacić na wikt po 2 korony, aby nie grabił. Lepiej urządził się pułk 2-gi, gdzie całą kasę pułkową rozdzielono między oficerów i tak przeniesiono ją ze sobą.

U nas tylko ja wziąłem pożyczkę 2000 koron od kasowego oficera kpt. Przepilińskiego, i tem żyliśmy z doktorem.

Resztę kasy pułkowej zostało w trenie; rozgrabili ją żołnierze austrjaccy, zdaje się, że jeszcze może kto z oficerów starszych wziął jaką „pożyczkę" z kasy pułkowej — dokładnie nie wiem kto.

Brygadjer zrobił taki pobieżny przegląd i odezwał się krótko do żołnierzy.

— „Poszliśmy, by nie służyć więcej naszym wrogom, którzy za naszą krew, za naszą wierną służbę nas zaprzedali, nas oszukali. Dokąd pójdziemy? — pójdziemy do legjonów, które tutaj się formują — ale idziemy na wieczną tułaczkę—może aż po Ural, ale naszym wrogom dalej służyć nie będziemy. My przeszliśmy, ale dużo kolegów zostało — dużo ich zginęło i śmiercią swą ułatwili nam przejście. Polećmy Panu Bogu ich dusze" — tu Haller klęknął.

— „Księże Kapelanie! Proszę pacierz odmówić!"

Uklękliśmy wszyscy. Zacząłem na głos mówić „Ojcze nasz", a potem „Wieczne odpoczywanie" — żołnierze mi odpowiadali. Właśnie tylko co zaszło zimowe słońce i na ziemię zmarzniętą, zasłaną szronem, sypnęło iskry światła — ziemia cała wydała się białym — srebrem tkanym kobiercem — to droga nasza w świat — ale niebo nam błogosławi, świeci.....

„Boże coś Polskę" — zabrzmiało w powietrzu, a potem „Nie rzucim ziemi... tak nam dopomóż Bóg" — z tym hasłem ruszyliśmy naprzód, jakoś dziwnie ochoczo nastrojeni i świątecznie — była to niedziela, 17.III.

I odtąd codziennie, te pieśni były nam pacierzem porannym, jakie całe wojsko śpiewało przy zbiórce. Haller postanowił sobie, czy taką ofiarę Panu Bogu złożył, aby zaprowadzić w wojsku wspólny pacierz. Idziemy na wieś Orliczany. Popołudniu stanęliśmy t. j. 3 p. p. we wsi Paszkowce, na połd. wschód od Chocima, pułk 2-gi w sąsiedniej wsi: Haller wiedział o bolszewikach, ale nie miał pojęcia co to jest, jak i my wszyscy, wychowani w zasadach wojskowych, uważaliśmy przedewszystkiem, za pierwszy nasz obowiązek, zameldować się u najbliższej rosyjskiej komendy. Nadziwić się nie mogliśmy, że dotąd żadnego organu władzy nie spotkaliśmy. Na szosie Chocim-Nowosielica, którą przekroczyliśmy, spotkaliśmy kilka wozów ze zdemobilizowanymi żołnierzami. Jechali ze śpiewem, ale milkli na nasz widok. Od nich dowiedzieliśmy się, że „dywizja, czy korpuśna komenda" stoi w Chocimie. Zauważyliśmy też, że żołnierze mieli bardzo wystraszone miny, ale i, że skoro tylko nas minęli, popędzali co koń wyskoczy.

Tylko nie wiem, czy my ich, czy oni nas bali się więcej.

Więc Haller wysłał zaraz popołudniu do Chocima 2 oficerów, aby się zameldowali w dywizji i prosili o pozwolenie przejścia przez Dniestr (por. Csadek i Malinowski); a następnie drugich dwóch, aby zbadali most na Dniestrze, czy jest broniony i t. p.

Po drodze widzimy spalony dwór i cukrownię. Myślimy, że to ot wojna — a to bolszewicy!

W Paszkowcach zachodzę po drodze do popa, czyby tam nie było kwatery.

Biedne popisko, młody, nic nie miał, bolszewicy go ze wszystkiego obrabowali, mieścił się w jednym pokoiku ze swą popadją, tłustą jak połeć słoniny — pokazywał, że ma wprawdzie „diwan" (t. j. kanapę po mołdawsku i turecku), ale była to parodja kanapy: niziutka prycza i na niej mata! W pokoju brudnym bez okien! Pop sam był sobie parobkiem, ona sługi nie miała, ale mimo to zaprosił zaraz na „czaj".

d. c. n.

Za drutami

W nędznym baraku myśli swoje ważę,
Snem o wolności ciężar życia łudzę
I wspomnieniami tętno serca budzę,
Że rwać się pragnie — za druty — za straże —
Przez wąskie okno patrząc w górę, marzę...
Nademną niebo w słońca złotej strudze
Takie znajome — a jednak tak cudze;
I swoim blaskiem błogosławić, raczy
Pachnące skiby i pracę oraczy,
Taksamo smugi białych chmur się wloką
Nad ciemnym lasem i nad cichą rzeką,
Co jasnym szlakiem zieleń murów znaczy,
Wszystko taksamo, a jednak — inaczej
Hen — za drutami... daleko... daleko...
Raz, obudzona tęskota nie zaśnie,
Kreśląc na licach gorączki wypieki,
Budzi wspomnienia: ludy — czyny — wieki—
Obrazy ziemi i dziejowe baśnie
Życie i wiosnę — wolność — słońca jaśnie,
Wreszcie olśnione spadają powieki...
Śnie niespełniony, o! śnie mój daleki,
Zakuty w pęta! Słońce w oczach gaśnie.
Lepiej mi było gdzieś w więziennym lochu,
W mroku kazamat, w ciemnej turmie na dnie,
Gdzie żaden słońca promyk się nie wkradnie,
Lepiej mi było martwieć tam po trochu,
W proch się rozpadać i tarzać się — w prochu,
Niż patrzeć tutaj w słońce, które snadnie
Marzenia budzi i boleścią władnie,
Szarpiąc za serce w rozszalałym szlochu,
Krzyk rwie się z piersi, lecz—nikt go nie słyszy.
O, łzy piekące! rozpaczliwe łkanie,
Pokuto bólu — straszliwe wyznanie
Śmierci... Och! — serce bije coraz ciszej,
Już życie śladów tej męki nie zmaże...

— — — — — — — — —

Słońce oświeca rząd drutów i straże...
A serce bije coraz ciszej... ciszej...

8 czerwca 1918 r.

R. BERGEL
Obóz jeńców w Gustrow

MARJAN KOŁACZKOWSKI, rtm. rez.

WSPOMNIENIA

OFICERA 6 p. UŁANÓW II Korpusu W. P.

(Dalszy ciąg)

Że w ten sposób zabrali u jednego chłopa przed kilku dniami buty, 2 ruble, jaja i kury. Pozatem agitują między ułanami, że oficerowie wprowadzają stary, rosyjski „reżim", że są „krowopijcami", że chcą wszystkich żołnierzy wykorzystać dla własnych celów, a potem znów zaprowadzą pańszczyznę. Ponieważ szwadron wie, że to jest nieprawda, bo i oficerowie i żołnierze służą dla wspólnego celu. dla ogólnego dobra, — więc proszą, w imieniu wszystkich o usunięcie szkodników.

W owym czasie warunki gospodarcze były następujące: oficerowie nie otrzymywali żadnej gaży, natomiast żołnierze pobierali po 7 rb. 50 kop. miesięcznie. Oficerowie. narówni z żołnierzami, żyli z kotła. Za każdy wyjazd służbowy poza obręb swego oddziału wszyscy, oficerowie i żołnierze porównu, otrzymywali „relutum" po 1 rb. na dobę. Nie było więc tej różnicy, co w armji rosyjskiej i o tem żołnierze wiedzieli i to pomagało oficerom w ich pracy. W każdej wolnej chwili, od rana do nocy, tłomaczyliśmy swym ułanom o celu do którego zdążamy. Tak. jak poprzednio w Związkach wojskowych, mówiliśmy im o powstającej z niewoli Polsce ludowej, matce dla wszystkich Jej synów. Wstając z rana szliśmy do szwadronu. Każdy miał swój pluton. Oglądaliśmy konie, mówiliśmy z ułanami, pełniliśmy służbę. To obcowanie z ludźmi otwierało im oczy na istotny stan rzeczy, zadawało kłam bolszewickim gadaniom o koniecznie wrogim stosunku między oficerami a żołnierzami.

Staliśmy już pod Kaniowem kilkanaście dni, oczekując na wynik pertraktacyj. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że Korpus, dzięki swej jednolitości i patrjotyzmowi obok Niemców w dotychczasowej sytuacji długo stać nie może. Z drugiej strony mówiono w Korpusie, że Rada Regencyjna, bez utraty swej powagi przed całym Narodem, nie może nas oddać Niemcom. Stąd wywodziła się wiara, że wszystko ułoży się doskonale. Jednakże zaszły fakty, które znowu spowodowały u nas napięcie oczekiwania. Oto w 5 pułku ułanów, na kwaterze, zamordowano oficera, majora Pruskiego. Dochodzenie wykazało, że mordercy w liczbie 7 przyszli z rejonu strzeżonego przez Niemców, i że skryli się po morderstwie również w tym rejonie, uniemożliwiając nam dalsze poszukiwania zbrodniarzy.

Niemców zbrodniarzy, mimo że ich imiennie wskazano, nie ukarali i nam nie chcieli wydać. Ponieważ rodziny morderców mieszkały we wsi, gdzie stał szwadron, ułani nie mogąc ukarać winowajców, chcieli wywrzeć zemstę na pozostałych rodzinach. Jednakże, rozumiejąc, że Niemcom zależy na sprowokowaniu napięcia stosunków między nami, a mieszkańcami tak, jak w Niemirowie i Winnicy oficerowie odwiedli ułanów od tego zamiaru.

Zbliżała się rocznica 3-go Maja. Z rozkazu Korpusu, we wszystkich oddziałach odbyły się polowe nabożeństwa, zakończone odśpiewaniem „Roty", poczem miały miejsce odczyty lub pogawędki, wyjaśniające znaczenie tej rocznicy.

U nas w Jemczysze, na nabożeństwie i pogadance, oprócz 2 szwadronu i Oddz. Kar. maszynowych, był obecny bataljon piechoty i oddział sanitarny Gatawsa. Do żołnierzy ja przemawiałem. Słuchaczów miałem wdzięcznych, niektórzy mieli łzy w oczach.

5-ty ułanów, przy tej okazji, odbył defiladę całym pułkiem. Następnego dnia, na kwaterze u Cieślińskiego, por. Jakubowski poruszył sprawę scalenia naszego 6-tego pułku. Uradziliśmy, że Cieśliński, który był bardzo mile widziany w sztabie Korpusu, zamelduje się u Żymirskiego w tej sprawie, a my tymczasem, t. zn. por. Dąbrowski, ppor. Skrzynecki, chor. Gołaszewski i ja udaliśmy się do hutoru Całow, z wizytą do 3-go szwadronu. Im też dokuczył stan sieroctwa, bez dowódcy pułku. Rotm. Arnold-Rusocki, ze swej strony, obiecał zająć się tą sprawą. Weszliśmy w nowy okres gorączkowej roboty. Kontakty szwadronowe były żywe. Ciągle wzajem odwiedzaliśmy się myśląc o zebraniu pułku do „kupy", rozumiejąc, że nadchodzące wypadki winne nas zastać zespolonych. Cieśliński i Rusecki często jeździli do Masłówki, przedstawiając sprawę.

Tymczasem 6 maja, koło godziny 10 wieczór, szwadron został zaalarmowany rozkazem bojowego pogotowia. Szwadron, z załadowanym trenem, wystąpił ze wsi, stojąc do rana w polu. Dowiedzieliśmy się, że do sztabu Korpusu przybył jakiś wyższy oficer niemiecki składając ultimatum, by do godz. 12 w południe dnia następnego, to jest 7 maja, Korpus złożył broń. W przeciwnym razie Korpus będzie rozbrojony siłą. Żymirski odpowiedział, że ciężka artylerja natychmiast występuje na pozycje i o 12 w nocy z 6 na 7 maja rozpocznie ogień na Piławę i wsie, gdzie są rozkwaterowane oddziały niemieckie. Parlamentarjusz z tym odjechał, lecz przed 12 wrócił przepraszając, że ultimatum tyczy się nie nas, lecz jakichś innych oddziałów, które mają być rozbrojone. Ponieważ żadnych innych oddziałów w tej części Ukrainy nie było, zrozumieliśmy, że to jest nowy zamach na Korpus. Po próbie w Humaniu i pod Mironówką, po prowokacyjnym morderstwie mjr. Pruskiego, ten czwarty zamach zaalarmował nas niezwykle.

9 maja wyszedł rozkaz o koncentracji szwadronów 6-go pułku ułanów pod dowództwem mjr. Tomaszewicza. Na miejsce koncentracji wyznaczono oddaloną od sztabu Korpusu wieś Tulińce. 10 maja 1 i 2 szwadron i oddział Karabinów Maszynowych opuściły miejsce swego dotychczasowego zakwaterowania przechodząc do Tuliniec: 3 szwadron miał przyjść nazajutrz.

1-szy szwadron przyszedł pod dowództwem chor. Zielińskiego, zastępującego nieobecnego por. Lenartowicza. W szwadronie tym, przed kilku dniami, żandarmerja Korpusu, likwidując elementy bolszewickie, chciała aresztować jednego z agitatorów, który jednakże stawił zbrojny opór i został zastrzelony. Szwadron, gdzie był brak oficerów i praca oświatowa szwankowała, wzburzył się. Por. Lenartowicz został zawezwany do Sztabu Korpusu, a dowództwo nad szwadronem, zastępczo objął chor. Zieliński.

W Tulińcach, gdzieśmy przyszli przed wieczorem, nad zakwaterowanym dywizjonem wobec nieobecności mjr. Tomaszewicza, dowództwo objął por. Cieśliński, wyznaczając odcinki służby ubezpieczeniowej. Południowy odcinek przedpola wsi zabezpieczał 1 szwadron, północną — 2-gi szwadron.

Lecz już przed nastaniem nocy zostaliśmy zaalarmowani, że wystawione poprzednio posterunki zniknęły, a nowa zmiana nie ma kogo luzować. Ponieważ już i poprzednio zdarzały się wypadki, że my Niemcom, a oni nam, zagarniali posterunki, gdy te zanadto wysunęły się poza linję, więc i teraz przypuszczaliśmy, że nasi wysunęli się w poszukiwaniu dogodniejszego miejsca i że zostali zajęci przez Niemców.

Nie było to nic strasznego, ponieważ w takim razie następowała wymiana, a nasz szwadron przed trzema dniami zabrał w ten sposób 3 Niemców. Postawiliśmy nową placówkę i nakazawszy jej baczność i niewysuwanie się naprzód uspokoiliśmy się. Tej nocy ja miałem służbę. Przed północą sprawdziłem posterunki i na kwaterze Cieślińskiego, siedząc drzemałem. Na dworze był silny wiatr, przewalała się burza z grzmotami, padał ulewny deszcz. Lecz mimo grzmotów i ulewy, drzemiąc koło okna, usłyszałem nagle tętent galopującego konia. Zerwałem się na równe nogi, a w tej chwili na podwórze wpadł ułan mego plutonu, junkier szkoły Elizawetgradzkiej, Florkowski.

D. c. n.

Zdzisław Ciechoński mjr. rez.

Moje wspomnienia

Z pracy w Związkach Wojskowych b. 6 armji rosyjskiej

(Dalszy ciąg)

Wszedłem najpierw ja i zawiązałem z nim rozmowę. Dowiedziawszy się, że oficerowie rumuńscy są na śniadaniu wyszedłem, przywołałem kol. Wrotnowskiego i dałem wskazówki jak i co ma zrobić. Ja wszedłem do pokoju i, patrząc przez okno z kapitanem Oczesalskim, dalej prowadziłem rozmowę. W tym czasie wszedł kol. Wrotnowski, wziął maszynę bez futerału w worek i wyniósł. Serdecznie podziękowałem kapitanowi Oczesalskiemu, który przyrzekł o sprawie tej nie pamiętać. Słowa dotrzymał.

„Podobna operacja" w Komitecie Narodowościowym co do Underwood'a rosyjskiego nie udała się, gdyż nas nakryto. Szeregowiec polak, — nazwiska nie pamiętam, który maszynę miał ukraść, uciekł przez okno (była to godzina 6 rano), ja natomiast spotkany w lokalu Komitetu i w następstwie pomawiany o chęć zafasowania maszyny do pisania, wyjaśniłem swoją obecność w biurze Komitetu sprawami służbowemi (miałem tam służbowy stół kancelaryjny).

Pewnego dnia do Związku Armji przyjechała garść Polaków między innymi był podkpt. Czopór Edward, podkpt. Jastrzębski z żoną, podkpt. Boguszewski z żoną i jeszcze inni, którzy przyjechali w zafasowanym samochodzie sanitarnym. Samochód stał na podwórzu Związku. Samochód ten zarejestrowałem „prywatnie" u szefa służby automobilowej 6-ej armji ś.p. inż. Antosiewicza, a to w tym celu, by w razie wykrycia nie mieć z tego powodu nieprzyjemności.

Ostrożność ta podyktowana była następującą okolicznością.

Dowódcą kolumny samochodowej sztabu 6-ej armji był podkapitan, rodem z Syberji, prawosławny, mający nazwisko o polskiem brzmieniu: Janowski, czy też Jankowski. Mówił, że jest właściwie zruszczonym polakiem i ma zamiar wstąpić do tworzącej się armji polskiej.

W pracy naszej dużo nam pomagał, gdyż mimo nakazów Sztabu co do ograniczenia wyjazdów służbowych, zawsze na żądanie Związku dawał samochód lub motocykl.

Zarząd Związku z d-rem Nakoniecznikowem na czele postanowił zafasować całą kolumnę samochodową Sztabu wraz z jej dowódcą, który zgłosił już swój akces do armji polskiej.

Weszliśmy w ściślejszy kontakt z szoferami-polakami, między którymi na specjalne uznanie zasłużyli wolontarjusz Kontkowski i kol. Kierski — (znany fabrykant cukierków w Warszawie).

Na zebraniu konspiracyjnem obecny był między innymi i podany wyżej dowódca kolumny. Chodziło tylko o ustalenie dnia i sposobu wymarszu do Sorok.

Na zapytanie dowódcy, jak będzie z przepustkami, gdyż każdy wyjeżdżający z miasta samochód musiał mieć przepustkę dowództwa armji, dr. Nakoniecznikow oświadczył, że to jest drobnostka, którą już załatwi podkapitan Ciechoński.

Dowódca kolumny wysunął różne trudności natury technicznej, jak chwilowy brak benzyny, konieczność zaopatrzenia się w opony i t. p. Termin miał być wyznaczony w następstwie. Tymczasem doniósł o zebraniu szefowi Sztabu i generałowi - kwatermistrzowi, jako swoim przełożonym. Zostaliśmy zdemaskowani, a ja zostałem oskarżony o chęć zabrania nietylko kolumny samochodowej, ale i samochodów osobistych dowódcy armji i szefa sztabu.

C. d. n.

Pamiętnik ppor. St. Bińkowskiego

(Dokończenie)

W Jampolu nocowałem w jakimś polskim dworku — nasze kresowe pola. Rządzą tu siczowi strzelcy, mają armatkę i atamana. Pokój z Niemcami zawarty. Kiedy się do Ukraińców zwróciłem o furaż, odpowiedzieli że zatelegrafują do Niemców. Ponieważ w Sorokach owsa mi nie dali, kupiłem za te sto rubli które mi dał ze swojej kieszeni na odjezdnym szef sztabu korpusu ppułkownik Sołłohub.

Na drugi dzień wymaszerowałem po drodze Jaruga — Mohylów Podolski. Kupkami wracali jeńcy — polacy, węgrzy — niemcy. Ułani się ich pytali, czy idą znowu wojować. Na 5 wiorście most ochraniali dwa dni temu bolszewicy, ale słysząc że na wschodzie są już austrjacy, a z zachodu idą polacy uciekli. Wogóle teraz koni błąka się tysiące, darmo nikt nie bierze, trzy ruble nikt za konia nie da — armat, kulomiotów, w każdej wsi do djabła — żeby było tylko czem obsadzić. Pod Jampolem rzucili tysiące koni towarzysze na polu i gdy te z głodu zaczęły zdychać, i porozłaziły się po całej okolicy, to w czasie odwilży musieli je chłopi zakopać bojąc się morowego powietrza.

O 2 pp. zobaczyłem że idzie piechota, uszykowałem się wzdłuż traktu i nadciągnął Haller ze swoją brygadą. Kiedy mu się zameldowałem — krzykom i wiwatom nie było końca. Odrazu po defiladzie rozdzielono buty. Kiedy później znów ich mijałem, idąc na czoło, moi żołnierze się dziwili że tacy młodzi chłopcy. Jest ich około 2 tysiące samej piechoty, artylerja i kawalerja nie zdążyły się przerwać. Teraz przynajmniej dowiemy się o nastrojach w Polsce.

Marzec 1918 r.

Idziemy na wschód—nawet z bolszewikami, ale żeby wyjść z terenów będących pod Niemcami. Dawali nam gdzieś rejon w Czernihowskiej gub. do formowania się. Wilson ogłosił swoje 14 punktów z wolną i niepodległą do morza Polskę. Ukraina ma się za żywność rozliczyć później z Polską.

Włączyli mnie do 6 pułku ułanów, dowodzi hr. Grabowski podpułk., ma ze trzysta koni. Jak się dowiedział, że miałem w Kiszyniowie orkiestrę, to chciał posłać po trąbki i zabrać mi pluton; prócz tego ciągle żądają ludzi, do sztabu pułku, obozu, etc. który formują. Zaczyna się formowanie wojska od góry — każden pułkownik chce mieć pułk i formuje sztab — niedługo będą same sztaby. Po to wyrywałem każdego człowieka, każden drobiazg, żeby widzieć jak to się dziś rozłazi! Powiedziałem że ludzi do sztabu nie dam, że nam są potrzebne karabiny, nie trąbki. A ponieważ z jednej strony niechcę, żeby się szwadron rozleciał, a z drugiej dawać przykładu bolszewizmu podaję raport że jestem chory i oddaję d-ctwo por. Lenartowiczowi.

Przy wyjściu szwadronu ze Sorok do Jampola też było całe przedstawienie. Podpułkownik jadąc z kulomiotami na przedzie kiedy się połączył z moim szwadronem zupełnie nie przywitał się z żołnierzami, nie powiedziałem że jest d-cą pułku, a oni go jeszcze ani razu nie widzieli, gdyż przed wymarszem też nas nie odwiedził. Ale dopóki jechałem przed szwadronem, szwadron maszerował. Trzeba trafu że w Sorokach odjechałem na chwilę kupić nożyków do maszynki do golenia i herbaty, później pojechałem równoległą ulicą i przegoniłem szwadron. Kiedy oni wyjechali za Soroki i zobaczyli że mnie niema, nie chcieli dalej jechać. Podpułkownik odrazu zapowiedział że obróci na nich kulomioty. Nie bardzo się tego zlękli, ale jeszcze bardziej zaczęli pyskować, uspokoili się dopiero przy Dniestrze, gdzie czekałem we wsi.

Napisałem list do brygadjera Hallera, który zaczyna mieć większy głos niż Stankiewicz, opisując mu jak tworzymy wojsko taborów i sztabów. Odpisał bardzo grzecznie „że będziemy razem pracować dla naszego celu Polski", przepuścił korpus przed sobą, zobaczył tysiące, wiorstami ciągnących się wozów, nawet z babami, grupki żołnierzy i na tem się skończyło.

Marzec. Zabokrzyki. Wszystko się pokręciło. Przechodzimy koło kolei, niemcy jadą pociągami patrząc się na nas. Chłopi przyjmują nas za krasnoarmiejców gdyż mamy czerwone czapki. Bolszewicy chcą nas rozbroić, ale mówią że idziemy z nimi na ukraińców. Ukraińcy opowiadają że idziemy z nimi na bolszewików. Jak zwrócić się do nich o produkty, to mówią żeby telegrafować do niemców. Idziemy niewiadomo dokąd. Od Dniestru nocuję już w 16 chałupie. Cała ludność mówi że jesteśmy pańskie wojsko.

Książki polskie z rozbitych dworów czytuję w każdej chałupie i rozsiewam je w rowach przydrożnych jak dawniej na Litwie. Całe wsie pijane, nawet blacha z cerkwi zdarta na naczynia do samogonu. Idziemy połączyć się z pierwszym korpusem — pierwszy korpus podobno rozbity.

Stoimy w Olgopolu, jakieś narady, jedni chcą iść za Dniepr, drudzy czekać co każe robić Rada Regencyjna. Stankiewicz d-ca korpusu wyjechał. Żołnierze się burzą mówiąc że oficerowie ich sprzedali — Haller odsunął się o kilkanaście wiorst. Do mnie przysłał, że znając mój mir u żołnierzy sądzi że się z nim połączę. Ja szwadron oddałem Lenartowiczowi i jeżdżę do sztabu korpusu — patrzę jak tam radzą. Przyjechała delegacja od gen. Michaelisa z 3 korpusu. Ja też zgłupiałem kompletnie i nic nie rozumiem. Część żołnierzy i oficerów wyjeżdża.

Jechać do kraju? tam podobno piszczy wszystko i co lepsze pozamykane. Z Hallera brygadą można iść, ale on też jakiś za miękki, tabory bab

i wozów prowadzi i zdaje się że tylko gada, a rządzą za niego.

Wziąłem urlop i jadę do Kijowa jako „towariszcz" wstyd mi, ale dosyć miałem tego jaśniepańskiego bałaganu. Za parę tygodni wrócę, bo samemu jeszcze gorzej — trochę tylko rozumu w Kijowie nabiorę.

Kwiecień. Siedzę w Kijowie — mieszkam u znajomych i czuję się między niemcami i ukraińcami pobitym psem. Polacy skołtunieli ostatecznie, podzielili się na 69 partji z których ostatnia ma najwięcej zwolenników. Słowo ojczyzna przy filiżance kawy, lub wódki nie schodzi im z ust i dali by ostatni pierścionek dla ojczyzny, dopóki nie wytrzeźwieją. Spotkałem Dr. Nakonieczników a i Bobickiego i powiedzieli mi że dziwne, że ci którzy najwięcej dla korpusu pracowali wyjechali. Podobno korpus zreorganizowali i jest porządek. Wracam do szwadronu — nie będę więcej mądrował niech myślą inni.

Maj. Kijów.

Już po wszystkiem, nim dojechałem do korpusu był Kaniów. Szwadron mój chodził do ataku — a mnie nie było — świństwo. Zupełnie mi o to nie chodzi że plony moje zbierał kto inny. Moja cegiełka też się przydała. Ale kto nie wie co myślałem, to mnie potępi. Za parę lat różne kombinatory będą nade mną mędrkować.

DR. TADEUSZ LECHOWICZ.

Ubezpieczenia społeczne a rodzina

(Dokończenie)

Zasada, że zapobieganie chorobom jest celowe i tańsze, aniżeli ich leczenie, doprowadziła do rozszerzenia pomocy leczniczej na drodze zapobiegania chorobom. W roku 1935 ubezpieczeni i członkowie ich rodzin wykorzystali łącznie w sanatorjach i kolonjach leczniczych 694.000 dni leczenia. W sanatorjach przeciwgruźliczych około 3.300 chorych leczyło się w ciągu 200.000 dni, w sanatorjach zdrojowiskowo - klimatycznych leczyło się około 4.400 chorych w ciągu 130.000 dni leczania, z kolonij leczniczych korzystało około 1.400 dzieci w ciągu 54.000 dni leczenia.

Dzięki ścisłej współpracy między ubezpieczeniem na wypadek choroby i ubezpieczeniami emerytalnemi nastąpiło poważne rozszerzenie działalności ubezpieczeń społecznych w tym kierunku. W poszczególnych wypadkach zostały zniesione ograniczenia okresu leczenia sanatoryjnego. Zasadniczo każdy chory może być leczony aż do wyleczenia lub do powzięcia przez lekarzy przekonania, o niemożności wyleczenia.

Lecznictwo zapobiegawcze staje się jedną z zasadniczych podstaw działalności ubezpieczeń społecznych. Według ostatnich zestawień stan zdrowotności ubezpieczonych w okresie lat 1930 - 1934 uległ poprawie. Zachorowań na gruźlicę przypadło w roku 1930 — na 100 ubezpieczonych — 6,05, w roku zaś 1934 — 3,98.

Z *ujemnym natomiast* objawem mamy do czynienia w statystyce chorych wenerycznych i zachorowań na gościec: na 100 ubezpieczonych przypada w r. 1930 — 3,397 chorych, wenerycznie i 6,5 chorych na gościec, w roku zaś 1934 — 4,10 i 7,14 chorych.

W wypadku śmierci ubezpieczenia społeczne nie pozostawiają ubezpieczonego i członków jego rodziny bez pomocy. W razie śmierci czy to ubezpieczonego, czy członka jego rodziny — ubezpieczenia społeczne wypłacają *zasiełk pogrzebowy i zapomogę pośmiertną.*

Z ubezpieczenia na wypadek choroby zasiłek pogrzebowy otrzymuje w razie śmierci ubezpieczonego pozostała po nim rodzina lub ten, kto pokrył koszty pogrzebu. Wysokość tego zasiłku odpowiada 3-tygodniowemu ostatniemu zarobkowi zmarłego ubezpieczonego. W razie śmierci członka rodziny, ubezpieczony otrzymuje zasiłek w wysokości 1,5 tygodniowego zarobku. Niezależnie od tego zasiłku pogrzebowego rodzina pozostała po zmarłym ubezpieczonym lub renciście robotniku — otrzymuje jednorazową zapomogę pośmiertną z emerytalnego ubezpieczenia robotników lub z ubezpieczenia od wypadków w zatrudnieniu, jeśli śmierć ubezpieczonego nastąpiła wskutek wypadku przy pracy. Nadto z ubezpieczenia pracowników umysłowych otrzymuje *zasiłek pogrzebowy osoba,* która nie mając prawa do świadczeń emerytalnych po zmarłym ubezpieczonym, udowodni, że poniosła koszty pogrzebu. Zasiłek ten równa się faktycznym kosztom pogrzebu, nie może przytem przekroczyć jednomiesięcznej płacy podstawowej.

W ten sposób ubezpieczenie na wypadek choroby przyczynia się do utrzymania zdrowia ubezpieczonych i ich rodzin, a przez to zmniejsza ich śmiertelność. Z ubepieczenia chorobowego korzysta w Polsce *ponad 6 miljonów osób* (ubezpieczeni wraz z członkami rodzin). Jeśli więc uwzględnimy, że — jak wykazują statystyki śmiertelność niemowląt i małoletnich zmniejszyła się, jeśli weźmiemy pod uwagę, powstrzymanie rozwoju gruźlicy wśród ubezpieczonych, uprzytomnimy sobie znaczenie ubezpieczeń społecznych w tej dziedzinie. Wymownem też jest zwiększenie się ilości chorych wenerycznych na tych terenach, gdzie zmniejszono zakres działalności ubezpieczeń społecznych przez wyłączenie pracowników rolnych z pod przymusu ubezpieczeniowego. Ilość nowych zachorowań na

kiłę wynosiła w Poznaniu w stosunku do ilości ubezpieczonych w 1933 r. — 3.2% (ilość zachorowań 1889, ubezpieczonych 69.148), w roku 1934 — 3.4% (ilość zachorowań 2084, ubezpieczonych 61.803). W Toruniu procent tego wzrostu jest znacznie wyższy, mianowicie ilość zachorowań w stosunk do ilości ubezpieczonych wynosiła w 1933 r. — 3,54% (ilość zachorowań 887, ubezpieczonych 25.018), w 1934 r. stosunek ten wynosi 4.69% (ilość zachorowań 703, ubezpieczonych 14.903).

O znaczeniu ubezpieczenia na wypadek choroby dla ubezpieczonych i członków ich rodzin mówi również suma zł. 2 miljardy wydanych w ciągu ostatnich 10-ciu lat na opiekę leczniczą, zasiłki chorobowe, domowe i inne.

Musimy stwierdzić, że wspomniane wyżej zasiłki nie mogą być całkowitym ekwiwalentem zarobku zdrowego ubezpieczonego, nie mniej jednak sumy te zapobiegły niewątpliwie wielu wypadkom nędzy oraz ochroniły wiele rodzin przed prawdziwą ruiną.

Dane te najdowodniej świadczą o konieczności dalszego rozwoju ubezp. chorobowych dla stanu zdrowotności polskiego robotnika, polskiej rodziny, a przez to i siły obronnej Państwa.

Komunikaty Zarządu Głównego

ZARZĄD GŁÓWNY

W dniu 1 b. m. odbyło się posiedzenie Zarządu Głównego z udziałem: prezesa Nakoniecznikow-Klukowskiego, wiceprezesów: Sikorskiego i Kotaczkowskiego, sekretarza Kiszko-Zgierskiego, skarbnika Kotowicza i członków: Koźmińskiego, Godniewskiego, Grzegorzewskiego i Salomonowicza.

Porządek dzienny obejmował, między innemi, zatwierdzenie władz okręgów i oddziałów i sprawy Okręgu Warszawskiego.

Zatwierdzone składy władz okręgów i oddziałów, jak również listę imienną nowoprzyjętych członków, podamy w następnym numerze.

OFIARY NA STYPNEDJUM.

W dalszym ciągu następujące osoby złożyły ofiary na fundusz stypendjalny im. Marszałka Józefa Piłsudskiego dla niezamożnych uczeni szkól imienia Związku:

płk. Koźmiński	zł.	300.—
M. Grabowski	..	10.—
A. Gorczyński	..	10.—
Razem	zł.	320.—

W ten sposób zebrana suma na Fundusz wynosi łącznie zł. 7.002.56, z czego w papierach procentowych zł. 6.250.— zdeponowano w banku, zł. 568.05 stanowi skrypt dłużny, a resztę, t. j. zł. 184.51 przechowuje się na rachunku w PKO.

Z OSTATNIEJ CHWILI

W trakcie składania niniejszego numeru „Głosu“ doszła nas wieść o zgonie ś. p. mjr. w st. sp. inż. Marjana Żybułtowskiego. Zmarłemu Koledze, który w latach 1932, 3 i 4 pracą swą, na stanowisku V-Prezesa Zarządu Głównego wydatnie przyczynił się do organizacji i rozwoju naszego Związku, poświęcimy wspomnienia w następnym numerze „Głosu“.

POSZUKIWANIE ŚWIADKÓW

p. Wilhelmina Kłuszewska, b. siostra miłosierdzia, czynna w Odesie w 1918 roku poszukuje stwierdzenie następujących faktów:

Organizowała związek sióstr miłosierdzia — Polek, korzystając z pomocy dowódcy oddziału kawalerji (nazwiska nie pamięta), który przydzielił 40 łóżek i opłacił lokal przy ulicy Portofrantowskiej. Ocaliła życie pułkownikowi, którego nazwiska nie pamięta, za co otrzymała od gen. Żeligowskiego wynagrodzenie pieniężne i polecenie do 14 pułku lub 13 pułku, gdzie otrzymała pokój i zaprowiantowanie, oraz pracę przy prowianturze i izbie chorych. Podczas walk w Odesie była ranna w głowę. Wszystkich, którzy mogą przytoczone fakty potwierdzić p. Kłuszewska prosi o nadesłanie odpowiednich oświadczeń pod adresem Redakcji „Głosu“.

Nasza kronika

OKRĘG ŁÓDZKI.

W związku z obchodem święta Żołnierza Polskiego w dniu 15 sierpnia Zarząd Okręgu wziął udział w posiedzeniu zwołanem przez Radę Działaczy Społecznych m. Łodzi w dniu 7.8 b.r., które odbyło się w lokalu Stowarzyszenia Śpiewaczego im. Moniuszki pod przewodnictwem b. posła na Sejm Dyr. Wolczyńskiego Józefa.

Z Zarządu wzięli udział w posiedzeniu kol.: Margielski Wincenty, Nogacki Józef, Cieszkowski Feliks i Skowron Franciszek.

Wybrany komitet organizacyjny święta „Ż.P.“

wyłonił dwie sekcje, a mianowicie: 1) sekcja miasta Łodzi, do której m. in. wszedł kol. Nogacki Józef i 2) sekcja wojewódzka, do której wszedł kol. Margielski Wincenty.

Wymienieni koledzy wzięli również udział w zebraniu zwołanem na dz. 10.8 przez władze wojskowe w Garnizonowem Ognisku Oficerskiem.

W uroczystościach dnia 15 b.m. liczny udział wzięli członkowie naszego Okręgu w nabożeństwie, które odbyło się w Katedrze Św. Stanisława Kostki, a następnie w defiladzie. (Członkowie nasi ustawili się obok odbierających defiladę p. gen. bryg. Langnera Władysława i p. wojew. Hauke-Nowaka Aleksandra.)

Podajemy do wiadomości, że otworzyliśmy konto czekowe w P. K. O. Nr. 66.764. Związku Kaniowczyków i Żeligowczyków Okręgu Łódzkiego, co w znacznym stopniu ułatwi członkom wpłacanie składek jak również innych kwot należnych Związkowi.

W zrozumieniu dobra sprawy i umożliwienia racjonalnej gospodarki Związku, wzywamy wszystkich członków do punktualnego wpłacania składek i jesteśmy przekonani, że na przyszłość zaległości nie będą miały miejsca.

Po raz drugi przypominamy uchwałę rocznego Walnego Zebrania, która zapadła jednogłośnie, że sztandar należy ufundować własnemi siłami t. j. z ofiar przeznaczonych na ten cel przez członków. Cel jest dla nas wielce doniosły. Zarząd ze swej strony poczynił wszelkie wysiłki dla zrealizowania powyższej uchwały. Mamy nadzieję, że jeszcze w bieżącym roku dokonamy uroczystego poświęcenia naszego sztandaru. Podjęliśmy się sprawy dość trudnej i kosztownej jak na stan finansowy Związku, ale nie tracimy nadziei, że przy pomocy wszystkich członków sprawę zrealizujemy i zrealizować musimy. W księdze fundatorów sztandaru nie powinno żadnego z Kolegów zabraknąć.

1)	Kol.	Knappik Zdzisław	zł. 50
2)	„	Skowron Franciszek	„ 25
3)	„	Nogacki Józef	„ 20
4)	„	Piwakowski Zygmunt	„ 20
5)	„	Maj-Majewski Józef	„ 20
6)	„	Świtecz Stanisław	„ 15
7)	„	Margielski Wincenty	„ 5
8)	„	Cieszkowski F.	„ 5
9)	„	Ulman Andrzej	„ 5
10)	„	Bukowiecki W.	„ 5
11)	„	Łukaszewski T.	„ 3
12)	„	Warwas Kazim.	„ 3
13)	„	Nowakowski A.	„ 5
		Razem	zł. 181

W związku z ufundowaniem sztandaru, musimy utworzyć oddział umundurowany, prosimy przeto o podanie w najkrótszym czasie, którzy z kolegów życzą sobie należeć do powyższego oddziału i czy koszty związane z uszyciem umundurowania są w stanie ponieść sami.

Zwracamy uwagę Kolegów dotąd niezrzeszonych na Komunikat z r. b. Nr. 2 pkt. 4, który został rozesłany do wszystkich w celu składania deklaracyj i kwestjonarjuszy.

Uważamy, że naszym obowiązkiem obywatelskim i żołnierskim jest zrzeszenie się pod jednym sztandarem.

Udziela się bezpłatnych porad prawnych członkom naszego Okręgu, informacje udziela się w Związku we wtorki i czwartki każdego tygodnia u dyżurnego.

Prosimy, by wszelkie zarządzenia Zarządu traktować poważnie i wykonywać skrupulatnie, co znacznie ułatwi pracę Zarządowi.

Dnia 22 lipca Okręg wziął udział w ogólnej manifestacji w sprawie Gdańska, dla zadokumentowania, że Polska nigdy nie zrezygnuje ze swych uprawnień wobec tego miasta i że opinja całego Narodu pod tym względem jest jednolita. W manifestacji wzięli udział liczni członkowie Okręgu na czele z wiceprezesem kol. Piwakowskim.

SKRZYNKA POCZTOWA.

P. Dąbrowski Antoni. Podkomisarz Skarbowy w Zamościu. Sprawa nadania Krzyża Walecznych obecnie jest nieaktualna. Późne wstąpienie do IV dywizji strzelców (15.IV. 1919) nie upoważnia Pana do otrzymania Krzyża IV Dywizji K.

Firmanty Menzyk. Kielce, ul. Chęcińska 41. Odznaka II Korpusu (Krzyż Kaniowski) i Odznaka IV D. S. wydawane są przez Komisje Odznaczenia przy Zarządzie Głównym Związku. Należy przesłać dokładny życiorys z dowodami służby do II Korpusu i IV Dywizji Strz. Przysłane zaświadczenia stwierdza służba Pana jedynie w II Korpusie. Brak dowodów służby w IV D. S.

WYDAWCA: ZWIĄZEK KANIOWCZYKÓW I ŻELIGOWCZYKÓW.
REDAKTOR: M. KOŁACZKOWSKI.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Al. Jerozolimskie 8. Tel. 6-13-45. Konto P. K. O. 17.544.

PRZEDPŁATA: miesięcznie 50 gr., półrocznie 3 zł. Egzemplarz pojedyńczy 50 gr.

Zakł. Graf. „Polska Zjednoczona" Warszawa, ul. Nowolipie 2.